

O książce Jolanty Sowińskiej-Gogacz i Błażeja Torańskiego, *Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2020, ss. 312

About the book by Jolanta Sowińska-Gogacz and Błażej Torański, *Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2020, pp. 312

Publikacja *Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi*, wydana nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka 15 września 2020 r., dotyczy stosunkowo nieznanego tematu – stworzonego przez Niemców obozu dla polskich dzieci w Łodzi. Opowieść o tym miejscu, które skazano na zapomnienie, zaczęto przywracać po 2012 r., m.in. dzięki badaniom Instytutu Pamięci Narodowej (IPN) i kolekcji nagrań Świadców Epoki Instytutu Pileckiego. Wiedzę na jego temat upowszechnili Jolanta Sowińska-Gogacz, absolwentka kulturoznawstwa i pedagogiki na Uniwersytecie Łódzkim, oraz Błażej Torański, dziennikarz i publicysta specjalizujący się w literaturze faktu. Książka składa się z trzech części. Pierwsza – i zarazem najdłuższa – zatytułowana *Historia łódzkiego obozu na Przemysłowej*, w dużej mierze opiera się na pochodzących z akt procesowych wypowiedziach byłych więźniów. Część druga, *Współczesność*, przedstawia rozmowy z ocalałymi i ich krewnymi, które autorka przeprowadziła w latach 2015–2019. Natomiast w części trzeciej, *Te miejsca zasługują na pamięć*, przywołane są miejsca upamiętniające tragedię,

RECENZJE

która wydarzyła przy ul. Przemysłowej. Tytuł książki przywołuje niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Auschwitz nie bez powodu – warunki panujące w łódzkim obozie, mimo braku komór gazowych czy krematoriów, były bardzo zbliżone do tych w Oświęcimiu.

Tytułowy „mały Oświęcim”, czyli niemiecki obóz dla polskich dzieci, powstał w granicach Litzmannstadt Ghetto, przy ul. Przemysłowej, w drugiej połowie 1942 r. Pięciohektarową działkę otoczono wysokim płotem, który zwieńczono drutem kolczastym, uniemożliwiającym ucieczkę. Decyzję o utworzeniu obozu podjął sam Heinrich Himmler pod pretekstem potrzeby „izolacji małoletnich Polaków i wychowywaniu ich poprzez pracę, aby nie demoralizowali niemieckich dzieci”. Oficjalna nazwa – Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt (Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi) – miała stwarzać pozory, że placówka ma charakter wychowawczy. Trafiały tam dzieci „wałęsające się” – bezdomne, osierocone czy żebrzące na ulicach i dworach – które pozbawione opieki dorosłych, dopuszczały się drobnych przestępstw, jak kradzież żywności z powodu głodu czy jeżdżenie tramwajem bez ważnego biletu. Owa „przestępczość” stanowiła jedynie pretekst. Głównym powodem umieszczania dzieci w obozach była ich polska narodowość; często dotyczyło to potomków osób działających w ruchu oporu oraz tych, którzy nie zdecydowali się na podpisanie volkslisty. Do obozu kierowano dzieci nie tylko z Łodzi, ale także z Pomorza, Wielkopolski, Zagłębia Dąbrowskiego i Śląska. Miejsce odosobnienia było przeznaczone dla nieletnich w wieku 8–16 lat. Zdarzało się jednak, że trafiały tam nawet niemowlęta.

Obóz podzielono na dwie części – jedną dla chłopców, drugą dla dziewcząt i najmłodszych dzieci obojga płci. Dodatkowo w 1943 r. utworzono oddział dla dziewcząt w Dzierżążni, niedaleko Płońska. Nowo przybyłym odbierano przedmioty osobiste, golono głowy oraz wykonywano fotografię z numerem obozowym. Na okładce książki *Mały Oświęcim* umieszczono jedno z takich zdjęć. Znajdujący się na nim chłopiec – Jerzy Grenda – jest odwrócony profilem i ma ogoloną głowę. Nad numerem obozowym 343 widnieje napis „Polen-Jugendverwahrlager 14 IX 43”.

Warunki w obozie były wyniszczające. Dzieci mieszkały w drewnianych barakach, do ubrania miały jedynie mundurek z drelichu oraz nieodpowiednie obuwie. Na bardzo skromne wyżywienie składały się zazwyczaj dwie kromki suchego chleba i czarna kawa zbożowa na śniadanie oraz zupa z brukwi na obiad – często niezdatna do spożycia, gdyż pływały w niej robaki, fragmenty zepsutego mięsa, a nawet sznurki. Dzieciom nie zapewniono także odpowiednich warunków sanitarnych – nie otrzymywały nawet mydła, a jednocześnie karano je za nieprzestrzeganie higieny. Wszelkie były insekty, pchły czy wszy.

Dzieci wyniszczano nie tylko przez katusze i głodzenie. W perfidny sposób przeprowadzano alarmy nocne, podczas których wyganiano bose na śnieg



i mroź, zmuszano do robienia żabek i biegania z punktu do punktu. Kto biegał wolniej – był bity. Ponadto małoletni więźniowie pracowali od rana do wieczora i musieli wyrabiać ustalone normy. Chłopcy zajmowali się m.in. prostowaniem igieł, zszywaniem zimowego obuwia dla niemieckich żołnierzy, wyrabianiem butów ze słomy, słomianych mat pod czołgi czy koszyków z wikliny. Dziewczęta z kolei szyły, reperowały mundury, prały i sprzątały. Praca trwała kilkanaście godzin dziennie, bardzo często w nieodpowiednich do tego warunkach. Źle wykonaną karano biciem – najczęściej chłostano pejcem – lub zamknięciem w karcerze.

Obóz funkcjonował aż do wyzwolenia Łodzi, czyli do 19 stycznia 1945 r. Tego dnia w budynkach przebywało ok. 900 dzieci, które nie były w stanie wyjść o własnych siłach. Dokładna liczba więźniów przebywających na terenie obozu oraz liczba ofiar śmiertelnych nie jest znana. Niemcy zabrali ze sobą większość dokumentów bądź je zniszczyli. Zachowało się niewiele z nich; informacje dotyczące obozu znane są w dużej mierze dzięki relacji więźniów i świadków. W związku ze zniszczeniem dokumentacji ewidencyjnej Niemcy mogli również zaniżyć liczbę zgonów, by zminimalizować rozmiar dokonanej zbrodni. Udało się odnaleźć 76 aktów zgonu dzieci, które zmarły w obozie przy ul. Przemysłowej. Pierwszą znaczącą publikację na temat piekła, jakie Niemcy zgotowali polskim dzieciom w Łodzi, jest wydana w 1975 r. przez Ossolineum książka *Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi*, którą napisał były więzień – Józef Witkowski. Dzięki współpracy z władzami komunistycznymi miał dostęp do archiwów i dokumentów, ponadto udało mu się dotrzeć do wielu swoich współwięźniów. Na jego apel odpowiedziało ok. 300 osób.

Kolejna tak znacząca publikacja to wydana dopiero 45 lat po monografii Witkowskiego książka *Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi*. Spora jej część poświęcona jest oprowcom. Funkcję kierowniczką obozu dziecięcego w Łodzi i ambulatorium pełniła Sydonia Bayer. Utworzyła na terenie obozu specjalny oddział, do którego trafiały dzieci chore na zapalenie pęcherza i przez to moczące się w nocy. Umieszczała je w osobnym baraku, gdzie miały spać na gołych, gnijących od wilgoci deskach. Ponadto przeprowadzała eksperymenty medyczne. Popularnym „lekarstwem” stała się sól na żółtaczkę oraz lizol, którym odkażano rany. W procesie udało się udowodnić jej bezpośredni wpływ na śmierć dwóch dziewczynek z obozu, chociaż uważa się, że jej ofiar mogło być znacznie więcej. Uznano ją za zbrodniarkę wojenną i skazano na karę śmierci, którą wykonano. Podobny los również wychowawcę – Edwarda Augusta, któremu udowodniono zamordowanie dziesięciorga dzieci.

Nieco inaczej było w przypadku Genowefy Pohl, której autorzy książki *Mały Oświęcim* poświęcili nieco więcej uwagi. Błażej Torański przeanalizował 28 tomów akt jej procesu, znajdujących się w Oddziale IPN w Łodzi.

Nadzorczyńni obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi dopuściła się zbrodni na małoletnich więźniach. Dziś uważana jest za jedną z najbardziej brutalnych z zatrudnionych tam pracownic.

Urodzona w 1923 r. w Ozorkowie koło Łodzi jako Eugenia Pol, córka budowlanka i szwaczki, w czasie okupacji podpisała volkslistę i przyjęła nowe imię – Genowefa – oraz nazwisko „Pohl”, z niemym niemieckim „h” w pisowni. Jako osiemnastolatka otrzymała pracę w obozie, gdzie miała odpowiadać za oddział dziewczęcy i dzieci poniżej ósmego roku życia. Jej przełożoną była wspomniana już Sydonia Bayer. Po wojnie wróciła do swojego polskiego imienia i nazwiska. Była chroniona przez środowisko komunistyczne. Nadal mieszkała w Łodzi, gdzie pracowała jako intendentka w żłobku w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej. Prowadziła spokojne życie, brała udział w zawodach sportowych – uprawiała m.in. rzut oszczepem i biegi. Zdarzało się, że na ulicach mijała swoje ofiary z obozu dla dzieci.

Jej proces rozpoczął się na początku lat siedemdziesiątych. Kobieta próbowała przekonać sąd, że ona i jej rodzina zostały zmuszone do podpisania volkslisty, a ona sama myślała, że obóz na ul. Przemysłowej, w którym pracowała, był domem poprawczym. W 1974 r., na podstawie zebranych dowodów, Eugenię Pol/Genowefę Pohl skazano na 25 lat więzienia. Uznano ją za odpowiedzialną za znęcanie się nad dziećmi, które mogło doprowadzić do ich śmierci. Dla ofiar oraz ich rodzin wyrok ten nie był satysfakcjonujący. Ze względu na dobre sprawowanie kobieta po 15 latach kary wyszła na wolność. Zmarła w Łodzi w 2003 r.

Na procesie Genowefy Pohl zeznawało ponad 100 świadków. Jednym z nich był ojciec niespełna czternastoletniej Urszuli Kaczmarek, której autorzy książki *Mały Oświęcim* poświęcili sporo miejsca ze względu na jej wyjątkową tragedię. Dziewczynkę poddawano torturom oraz głodzono. Na skutek stresu i przeziębienia pęcherza trafiła do baraku, w którym przewidziano system kar za moczenie się, w wymiarze nawet do 400 batów po 25 razy w czasie trwania jednego apelu. Szczególne katusze zadawała jej Genowefa Pohl. Na ciele dziewczynki pojawiła się ogromna ropiejąca rana. Urszulka zmarła wskutek zakażenia.

Kolejną ofiarą bestialstwa Pohl, której autorzy książki poświęcili sporo miejsca, była dwunastoletnia Teresa Jakubowska. Dziewczynka również miała problemy z moczeniem się. Ponadto z powodu wygłodzenia podkraδαła chleb. Pohl pobiła więźniarkę w czasie apelu. Następnie nadzorczyńni wydała rozkaz, aby na zmianę polewać dwunastolatkę zimną i gorącą wodą. Dziecko w krytycznym stanie pozostawiono na wielostopniowym mrozie. Młody organizm nie wytrzymał długotrwałych męczarni i dziewczynka zmarła.

Na szczególną uwagę zasługuje druga część książki, w której zamieszczono fragmenty dwudziestu rozmów z ocalałymi z obozu na Przemysłowej,



przeprowadzonymi przez autorkę w latach 2015–2019. Po opuszczeniu obozu i zakończeniu wojny wielu więźniów zmagало się z poważną traumą. Codzienne obcowanie ze śmiercią i długotrwałe prześladowania odcisnęły piętno na ich zdrowiu psychicznym. Wielu z nich nie przespało spokojnie nawet jednej nocy. Niektórzy nie potrafili mówić o pobycie w dziecięcym obozie nawet swoim najbliższym i dopiero w rozmowie z autorką otworzyli się i opowiedzieli o swoich przeżyciach. Z pamięci byłych więźniów wyłaniał się jeden obraz – piekło. Ze wszystkich wypowiedzi wypływał żal, że pamięć o miejscu ich gehenny jest tak nikła.

W ostatniej części książki znajdują się informacje właśnie o upamiętnianiu tragedii dzieci. Granice dawnego obozu przy ul. Przemysłowej zaczęły się zacierać w związku z budową socjalistycznego osiedla mieszkaniowego na początku lat sześćdziesiątych. Dopiero w 1971 r., nieopodal terenu obozu, powstał pomnik Martyrologii Dzieci autorstwa Jadwigi Janus i Ludwika Mackiewicza, który przedstawia nagiego chłopca na tle pękniętego serca – stąd często nazywany jest pomnikiem Pękniętego Serca. O istnieniu obozu przypomina także tablica mieszcząca się na dawnym budynku komendatury.

Na rynku wydawniczym ukazuje się coraz więcej tzw. literatury obozowej. Od rozpoczęcia II wojny światowej minęły już 83 lata, jednak – jak widać – nie wszystkie jej aspekty zbadano i opisano. Gdy myślimy o niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych czy zagłady, pierwsze skojarzenia to Auschwitz, Majdanek czy Treblinka. Przed powstaniem książki *Mały Oświęcim* niewiele osób wiedziało o funkcjonowaniu w Łodzi obozu dla dzieci. Sama autorka, z pochodzenia łodzianka, podkreśliła, że nie miała świadomości jego istnienia, ponieważ tego tematu nie poruszano nawet w szkołach.

Jolanta Sowińska-Gogacz i Błażej Torański przyjęli więc za cel ocalić obóz od zapomnienia i wprowadzić go do świadomości społecznej, a dzieciom tam więzionym przywrócić personalia, by nie były znane tylko ze zdjęć, jako numery. Autorzy wykonali ogrom pracy, opisując wszystkie dziedziny obozowego życia, docierając do akt sądowych, zeznań oraz samych świadków, którym udało się przeżyć. Dodatkowym atutem są uzupełniające lekturę liczne fotografie oraz skany dokumentów. Szczególnie poruszające są skany listów napisane przez dzieci do swoich najbliższych. Sporą część zamieszczonych zdjęć stanowią te wykonane współcześnie, podczas rozmów prowadzonych z ocalałymi.

Publikacja *Mały Oświęcim* jest lekturą niezwykle trudną i nie da się czytać jej jednym tchem ze względu na opisy niewyobrażalnej tragedii, jaką zgotowali Niemcy bezbronnym polskim dzieciom. Pod względem narracyjnym można zarzucić autorom powtórzenia, zbędne wtrącenia czy skłonność do emocjonalizacji, która wydaje się niepotrzebna, gdyż wypowiedzi

**Na rynku wydawniczym
ukazuje się coraz więcej
tzw. literatury obozowej.
Od rozpoczęcia II wojny
światowej minęły już
83 lata, jednak – jak
widać – nie wszystkie jej
aspekty zbadano i opisano.**

więźniów są już wystarczająco mocne. Sporym błędem jest również brak podpisów do fotografii i skanów dokumentów, które znalazły się w książce. Jedyna informacja zbiorcza na ich temat zamieszczona jest w stopce redakcyjnej. W publikacji zabrakło również indeksu nazwisk, którego sporządzenie wydaje się zasadne, gdyż wypowiedzi więźniów są ułożone tematycznie. Czytelnik, który chciałby dotrzeć do konkretnej osoby, ma więc nieco utrudnione zadanie. Nie umniejsza to jednak wartości książki, przywracającej pamięć o tych, których niedostatecznie upamiętniono. W czerwcu 2021 r. minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, we współpracy z rzecznikiem praw dziecka Mikołajem Pawlakiem oraz IPN, powołał Muzeum Dzieci Polskich – Ofiar Totalitaryzmów. Jego działalność z pewnością upowszechni wiedzę o zapomnianym, jedynym niemieckim obozie dla dzieci na terenie okupowanej Polski.